

Jacksona. Był to totumfacki domu Brisbane, który właśnie bardzo pilnie zajmował się zgartywaniem śniegu ze schodów.

— Na Boga! Mister Dik! — zajęczał starszek, z trudem podnosząc się z ziemi. — Ale pan się spieszy!

— Przepraszam cię bardzo, „wujku“! — zawołał Dik, pomagając skwapliwie staremu negrowi, aby stanął na nogach. — Masz, kup sobie jakiej maści na sińce!

Wcisnął mu kilka monet do ręki, która chętnie nadstawiła się na takie lekarstwo. Spojrzał następnie w ulicę i zauważył z cichym westchnieniem:

— Mój Boże! znowu spadły takie masy śniegu!

— Tak, tak, stary Andy ma znowu dużo do roboty! — zamruczał czarny starszek, który zwykł się być rozkoszować swoim gadulstwem. — Wygląda tak, jakby niebo chciało to bezbożne miasto powlec białym tynkiem. Wczoraj słyszałem kazanie czcigodnego ojca Hamiltona. Ten umie potężnie mówić. Opowiadał on, że szatan puka już do wrót Waszyngtonu; albowiem jest on tylko grobem pobielanym, a my wszyscy pójdziemy razem do piekła. Czy nie lepiej by było, aby pan zajął się trochę więcej religią, panie Dik!?

— Ach! właśnie teraz nie mam na to absolutnie czasu, drogi wuju Andy! Zresztą wiecie co? mój brat Jan jest kaznodzieją. Ten tam zapewne wstawi się za mnie — rzucił mu na odchodnym Dik i uciekł szybko, wołając: „do widzenia, wujaszku!“

Stary potrząsnął posiwiałą głową z wielką troską w oczach.

— Zdaje mi się, że tego pana Dika nie da się już uratować — mruknął do siebie i zabrał się do roboty.

Wozy kolei elektrycznej były z powodu śnieżycy tak przepełnione, że Dik musiał drogę do redakcji, mającą przeszło trzy kilometry, odbyć piechotą. Spóźnił się też potężnie. Mimo to po załatwieniu najpilniejszych rzeczy, znalazł jeszcze wolną chwilę, aby zatelefonować do „Białego domu“ i zapytać się o nazwiska służących telefonistów, którzy owej pamiętnej nocy pełnili służbę w pałacu.

— Chwileczkę proszę zaczekać! — brzmiała odpowiedź. — Zapytam się natychmiast... Halooo!... Nazywają się Charlie Hynu i Tom Murray.

— Dziękuję serdecznie!

Dik zawiesił słuchawkę i musiał sobie sam przyznać, że tym razem szczęście nie opuszczało go. Tom Murray służył w czasie kampanii wojennej na Kubie i był ordynansem generała Lony'ego, zawdzięczał też jego protekcji swoje obecne stanowisko w „Białym domu“. Dik wiedział, gdzie Tom mieszka, gdyż był on ożeniony z byłą panną służącą Peggy Macallister. Kiedy żona Murraya raz zachorowała, Peggy odwiedziła ją w jej skromnym mieszkaniu a Dik dotrzymywał jej towarzysztwa w tej samarytańskiej wyścieczce.

Skoro tylko ukończył swe zajęcia w redakcji, wsiadł do tramwaju z wielkim pośpiechem, a w dwanaście minut później bebnął już energicznie w drzwi mieszkania Toma Murraya. Tom sam mu otworzył i wykrzyknął, ucieszony jego widokiem:

— O, pan Tillinghast! Jakaż to niespodzianka! Proszę, wejdź pan do mieszkania!

Dik wszedł do małej izdebki.

— Przychodzę tylko na małą chwilę, Tomie. Czy wiecie, że generał Lony jest w Waszyntonie? Tom cofnął się o krok ze zdziwienia.

— Bogu dzięki! — krzyknął. — Gdzie on mieszka, panie Tillinghast? To znaczy, jeśli będzie mi przyjemnie, zobaczyć mnie!

— Mieszka w New-Willard i życzy sobie, abyście jeszcze dzisiaj wieczór zaszli do niego.

Twarz Toma wydłużyla się bardzo.

— Dzisiaj wieczór nie mogę, proszę pana. Mam służbę w „Białym domu“. Może by się dało, abym po południu do niego zaszedł?

— Doskonale. Zapytam się go. Ale, ale... coś mi się przypomniało. Kto właściwie pełni nocną służbę przy telefonach w „Białym domu“?

— To właśnie ja robię, panie. Przynajmniej ja siedzę w biurze egzekutywy.

— Czy nie przypominacie sobie przypadkowo,

kto w nocy z 3 na 4 lutego zawezwał do telefonu „północ, 123“?

Tom spojrzał badawczo na mówiącego.

— A czy to będzie dobrze, jeśli ja panu odpowiem panie Tillinghast?

— Przypuszczam, że tak. Właśnie generał Lony przysłał mnie tutaj, aby się pana o to zapytać; — w duchu zaś dodał — Bóg mi przebaczy to kłamstwo, a Chester zasłoni w razie potrzeby.

— A w takim razie, to wszystko dobrze — odetchnął Tom z ulgą. — Nie wiedziałem tylko, czy powinienem powiedzieć, gdyż był to sam prezydent i on telefonował

Przez chwilę Dikowi wprost brakło oddechu. Prezydent! Przedziwne — badania jego prowadziły go w coraz nowe matnie.

— Czy dobrze to pamiętacie, Tomie? — zapytał, siłąk się na spokój.

— Ależ tak, panie — odpowiedział krótko i dobitnie stary żołnierz. — Nie zapomniałem tego telefonu. Wprawdzie „Biały dom“ całą dobę jest alarmowany przez telefon, gdyż zarówno w dzień jak

Dik nie należy do takich ludzi, którzyby nas mogli wpłatać w jaką niepotrzebną kabałę.

Tem samą sprawą została ostatecznie rozstrzygnięta.

Tymczasem Dik dobrnął przez śniepowewe zasy do budynku biblioteki kongresowej i wszedł do budki automatu telefonicznego.

— Który numer, proszę? — zapytała telefonistka po chwili dzwonięcia.

— Główny kabel 6.

Kilka minut upłynęło w oczekiwaniu.

— Proszę, wrzucić pan monetę. Ma pan połączenie.

Hallo! Hallo! „Biały dom“? Chciałbym rozmówić się z sekretarzem Burtonem!...

— Ah! Burton, pan przy telefonie? Tutaj Dik Tillinghast!...

— Servus Dik! jak się masz?

— Ot! rozmaicie... jak się zdarzy. Proszę pana, panie Burton, jak pan przypuszcza, czy mógłbym rozmówić się z prezydentem kilka minut w cztery oczy?

Dik usłyszał, że Burton gwizdnął przez zęby.

— Ja wiem, że prezydent zajęty jest bardzo przyjęciami na cześć księcia Aleksandra serbskiego, ale przysięgam panu, że sprawa jest bardzo ważna, chodzi o śmierć lub życie.

Burtona przekonał poważny ton, w jakim Dik mówił do niego.

— Nie przerywaj połączenia, stary. Chwilęczkę zaczekaj!

Dik liczył minuty z niecierpliwością. Po kilku chwilach jednak usłyszał w aparacie:

— Hallo! Dik! A więc dobrze. Prezydent odpowiedział, że gotów jest przyjąć cię dziesięć minut przed piątą, ale bardzo punktualnie.

— Burton, z pana jest bajeczny chłop. Do widzenia!

Kiedy Dik punktualnie co do minuty stawiał się w biurze, powitał go już czekający Burton i poprowadził do gabinetu prezydenta.

Jazda, śmiało naprzód! — szepnął mu po drodze. — Przypuszczam, że twoja sprawa jest na tyle ważna, iż mogę z czystym sumieniem kazać czekać dwóm senatorom, ściągając ich wściekłość na siebie.

Prezydent podniósł się w całej swojej wielkiej, kościstej postaci, kiedy Dik wszedł i powitał go ukłonem. Ciemne jego oczy, ocienione wielkimi brwiami, spojrzały na Dika najpierw obojętnie, rozjaśniły się jednak, skoro prezydent go poznał. Podał mu rękę na powitanie.

— Dzień dobry, panie Tillinghast. Siadaj pan, ot tutaj!

Wskazał mu krzesło tuż obok swego biurka i spojrzał szybko na zegarek.

— Burton mówił mi, że ma pan do mnie jakąś wściekle ważną sprawę.

— Tak jest, panie prezydencie. Rozchodzi się o morderstwo w domu Trevorów.

— I pan z tem do mnie przychodzi? — zapytał prezydent zdziwiony.

— Chciałem tylko prosić pana prezydenta o wyjaśnienie, kto panu odpowiedział, kiedy pan w nocy we czwartek o godzinie 2, minut 15 telefonował do prywatnego mieszkania pana Trevora?

Prezydent oparł się o poręcz fotelu i zamyślił się. Przez chwilę spoglądał na Dika poważnie i pytająco, jakby go badał. Dopiero kiedy ten śmiało wytrzymał jego badawcze spojrzenie, wyciągnął rękę i zadzwonił.

— Czy jest jeszcze sekretarz stanu Bowers? — zapytał urzędnika, który się zjawił na wezwanie.

— Jest? W takim razie poproś go pan, aby tu na chwilę przyszedł.

Dik czekał zaciekawiony. Prezydent zabrał się do porządkowania aktów, ale zaledwie złożył ich kilka, kiedy w gabinecie zjawił się powszechnie lubiany i czczony sekretarz stanu.

— Pańskie wezwanie dosięgnęło mnie w chwili kiedy właśnie wybierałem się do domu, panie prezydencie — oświadczył wchodząc. — Jestem na pańskie rozporządzenie.

— Nie będę pana długo zatrzymywał. Czy zna pan pana Tillinghastą?

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Kabel główny VI. dom prezydenta Stanów Zjednoczonych.

i w nocy dość znajdzie się interesantów, którzy telefonują do „Białego domu“. Bardzo wyjątkowo zdarza się jednak, aby z „Białego domu“ wzywano w nocy jakiś numer telefonu.

— Czy bardzo trudno panu było przeprowadzić połączenie?

— Nie, panie. Główny urząd telefoniczny trochę opieszale pracował, ale zresztą wszystko poszło dobrze.

— Dziękuję wam, Tomie. Zrobił pan przez udzielenie tego wyjaśnienia generałowi Lony'emu wielką przysługę. Jak pójdziecie do „Białego domu“, wstąpcie o szóstej do niego. Zastaniecie go z pewnością w domu. A jak się powodzi waszej żonie?

— Dziękuję, bardzo dobrze. Proszę, powiedz pan generałowi, że punktualnie o szóstej się stawię. Do widzenia panu, panie Tillinghast.

Kiedy Dik odszedł, udał się Tom do kuchni. Serce wezbrało mu wielką troską, której wyraz dał, mówiąc do żony:

— A może ja za dużo opowiedziałem panu Tillinghastowi, jak myślisz Betty?

— Głupi chłopie! — odpowiedziała Betty ostrym głosem, którego dźwięk zaostriło jeszcze ciepło, płynące od rozpalonego pieca kuchennego. — Pan